

Demokratyczna dyktatura proletariatu?

2 maja 2012

„Walka o władzę w państwie (która stawia nas w jednym szeregu ze zwalczanym wrogiem) lub wycofanie się i stawianie oporu z daleka” – to fałszywa alternatywa. Oba jej człony opierają się na założeniu, że znana nam forma państwa musi trwać wiecznie, a więc można albo można dokonać przewrotu albo trzymać się z boku. Sięgnijmy jednak śmiało do pracy Lenina „Państwo a rewolucja”: okazuje się, że celem rewolucyjnej przemocy nie jest przejęcie władzy w państwie, lecz przekształcenie samego państwa, radykalna przemiana jego funkcji, jego odniesienia do bazy itd. Właśnie w tym zawiera się kluczowy element pojęcia „dyktatury proletariatu”. Bulent Somay słusznie zauważa, że cecha, która ostatecznie predestynuje proletariat do tej roli, jest negatywna. Przecież każda inna klasa (potencjalnie) mogłaby stać się „klasą rządzącą”, czyli sama ustanowić się jako klasa kontrolująca aparat państwa. Tymczasem tym, co sprawia, że „klasa robotnicza może być motorem zmian, co nadaje jej misję do spełnienia, nie jest ani jej bieda, ani jej aktywizm czy paramilitarna struktura, ani też jej bliska relacja do środków produkcji (przede wszystkim przemysłowych), lecz właśnie istotowa dla niej niemożność przekształcenia się w jeszcze jedną klasę rządzącą. Proletariat jest jedyną (rewolucyjną) klasą w historii, która sama się obala w akcie obalenia klasy jej przeciwnej. [1]”

Można stąd wyciągnąć tylko jedną słuszną konkluzję, a mianowicie, że „dyktatura proletariatu” to tylko pewien (nieunikniony) oksymoron, a bynajmniej nie ustrój państwa, w której proletariat byłby klasą rządzącą. Z „dyktaturą proletariatu” mielibyśmy do czynienia, gdyby państwo jako takie zostało radykalnie przemienione i opierałoby się na nowych formach uczestnictwa. Dlatego było czymś więcej niż hipokryzją, kiedy w apogeum stalinizmu, w czasie gdy czystki

rozbiły w proch cały gmach społeczny, obwieszczono w nowej konstytucji koniec „klasowej” natury władzy radzieckiej (gdyż prawo wyborcze zostało przyznane klasom, które dotąd były go pozbawione), a ustroje socjalistyczne przyjęły nazwę „demokracji ludowych” (co wskazuje niechybnie, że nie były „dyktaturami proletariatu”), było to czymś znacznie poważniejszym niż zwykła hipokryzja. Najsłabszym punktem demokracji jest to miejsce, w którym ujawnia się nieunikniona nadwyżka reprezentacji nad tym, co reprezentowane.

Demokracja wymaga pewnego minimum alienacji między ludem, a tymi, którzy sprawują władzę. Odpowiedzialność władzy przed ludem jest możliwa tylko pod warunkiem, że te dwie instancje oddzielone są choćby minimalnym dystansem re-representacji. W „totalitaryzmie” zostaje on zniesiony – Przywódca ma bezpośrednio wyrażać wolę ludu. W ten sposób oczywiście powstaje jeszcze bardziej radykalna alienacja (empirycznego) ludu w osobie lidera, który jest pośrednio tym, czym lud „jest realnie”; który stanowi prawdziwą tożsamość ludu, jego prawdziwe pragnienia i prawdziwe interesy – w przeciwieństwie do jego „empirycznych”, nieokreślonych pragnień i interesów. O ile autorytarna władza jest alienowana w stosunku do swoich poddanych, czyli ludu, o tyle tutaj „empiryczny” lud – jest wyobcowany „w stosunku do samego siebie”.

Nie chodzi mi oczywiście tylko o wygłaszanie pochwał demokracji i potępianie „totalitaryzmu”. Przeciwnie, uważam, że w totalitaryzmie jest moment prawdy. Już Hegel podkreślał, że polityczna reprezentacja nie oznacza, iż ludzie z góry wiedzą, czego chcą, i tylko przenoszą na przedstawicieli obowiązek obrony swoich interesów. Ludzie może wiedzą, czego chcą, ale tylko „w sobie”. Dopiero przedstawiciele formułują za nich ich cele i interesy, w ten sposób, że zaczynają one istnieć „dla siebie”. W logice „totalitarnej” ujawnia się explicite ów rozdział, który zawsze skrywa się w idei reprezentowania „ludu”.

Jeśli chodzi o figurę przywódcy, nie bójmy się więc wyciągnąć

radykałnych wniosków. Demokracja to ustrój, który nigdy nie wyjdzie poza pragmatyczną, utylitarną inercję; nie zawiesi nigdy logiki „zapewniania dóbr”. Tak samo jak nie jest możliwa autoanaliza, gdyż analityczna transformacja może dokonać się jedynie poprzez przeniesienie na zewnętrzną figurę analityka, tak i tutaj potrzebny jest przywódca, by wzbudzić entuzjazm dla jakiejś sprawy, by doprowadzić do radykalnej przemiany podmiotowej pozycji tych, którzy za nim idą, do „transsubstancjacji” ich tożsamości.

To zaś oznacza, że istotnym pytaniem w odniesieniu do władzy nie jest to, czy jest ona demokratycznie legitymizowana, lecz to, jaki jest specyficzny charakter („społeczna treść”) tej „totalitarnej nadwyżki” nieodłącznie związanej z każdą suwerenną władzą – zarówno demokratyczną, jak i niedemokratyczną. Na tym właśnie poziomie działa pojęcie „dyktatury proletariatu”. W niej „totalitarna nadwyżka” władzy nie jest już po stronie hierarchicznego porządku społecznego, lecz po stronie tych, którym nic nie przypada w udziale. Mówiąc wprost, ci którzy pozostali „bez udziału”, zyskują władzę w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie w tym sensie, że ich przedstawiciele chwilowo zajmują puste miejsca władzy. Chodzi o coś znacznie bardziej radykalnego: oni „zaginają” samą przestrzeń reprezentacji w swoją stronę. Być może rządy Chaveza i Moralesa zbliżają się do swego rodzaju współczesnej formy „dyktatury proletariatu”: rządy te – choć wchodzą w interakcje z różnymi czynnikami i ruchami, których poparcie kapitalizują – przede wszystkim są związane z biedną ludnością z faweli, ona jest hegemoniczną siłą reżimu. Nawet jeśli Chavez nadal przestrzega demokratycznej zasady wyborów, nie w niej leży istotny sens jego politycznego zaangażowania oraz źródło jego legitymizacji, lecz właśnie w uprzywilejowanej relacji, jaką utrzymuje z mieszkańcami faweli. Oto „dyktatura proletariatu” w formie demokratycznej.

Można by bardzo przekonująco opowiadać o hipokryzji zachodniej lewicy, która nie chce dostrzec „liberalnego renesansu”

zachodzącego w irańskim społeczeństwie obywatelskim. Zważywszy, że na Zachodzie intelektualnymi punktami odniesienia dla tego „odrodzenia” są nazwiska takie, jak Habermas, Arendt i Rorty, czy wręcz Giddens, a nie ta sama co zwykle banda antyimperialistycznych „radykałów”, lewica nie przejmuje się wcale, gdy osoby uczestniczące w tym ruchu tracą pracę, są aresztowane, itd. Traktuje ich podejrzliwie, bo zajmują się takimi „nudziarstwami” jak podział władzy, demokratyczna legitymizacja, prawa człowieka itp., zamiast wyraźnie opowiedzieć się przeciw imperializmowi i przeciw Ameryce. Mimo wszystko jednak warto zadać sobie znacznie bardziej fundamentalne pytanie, czy rzeczywiście liberalna demokracja zachodnia jest dobrym sposobem na pozbycie się fundamentalistycznych religijnych reżimów; czy nie jest może tak, że te reżimy są właśnie symptomem tej demokracji? Co zrobić z Algierią czy Autonomią Palestyńską, gdzie „wolne”, demokratyczne wybory wynoszą do władzy „fundamentalistów”?

Kiedy Róża Luksemburg pisała, że „dyktatura jest sposobem użycia demokracji, a nie jej zniesieniem” miała na myśli nie tylko, że demokracja jest pustą ramą na użytek różnych sił politycznych (Hitler zdobył władzę w mniej lub bardziej wolnych wyborach), lecz że w tę pustą instytucjonalną ramę wpisane jest „uprzedzenie klasowe”. Dlatego, kiedy skrajna lewica wygrywa wybory, jej signe de reconnaissance jest natychmiastowa zmiana reguł mająca na celu zapewnienie hegemonii bazy; zmiana nie tylko mechanizmów działania państwa i organizowania wyborów, ale całej logiki przestrzeni politycznej, zwrot ku oddolnej mobilizacji, narzucanie nowej formy lokalnej samorządności itd. Lewica czyni to kierowana słuszną intuicją, że w formę demokratyczną wpisane jest „uprzedzenia klasowe”.

Autor: Slavoj Žižek

Tłumaczenie: Magdalena Kowalska

Fragment artykułu z książki „Co dalej z demokracją?”

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)

PRZYPIS

[1] Prywatna korespondencja.